

Przeciw Tobom

DARIUSZ KOSIŃSKI

Pół wieku po Marcu '68 polski teatr nie przypomina walki o „Dziady” ani buntu studentów. Mierzy się z czymś trudniejszym: z pamięcią antysemickiej nagonki i wypędzenia z Polski obywateli pochodzenia żydowskiego.

WSOBOTĘ 10 MARCA POKAZANO PO RAZ pierwszy dwa oczekiwane przedstawienia: „Sprawiedliwość” w reżyserii Michała Zadary i „Kilka obcych słów po polsku” w reżyserii Anny Smolar. Oba wiele łączy. Oba stworzyli ludzie zbyt młodzi, by być świadkami wydarzeń sprzed 50 lat. Oba przywracają je współczesności. Oba zadają bolesne pytania. W obu ważna jest praca nad materiałem historycznym i tekstowym. I w obu waga tematu przyniotła teatr.

Teatru mi nie żal. Nie żal mi tego, że w kategoriach czysto artystycznych oba przedstawienia nie porywają. U Zadary oczywistość użytych środków wydaje się bardziej świadoma, u Smolar wynika raczej z bezradności, która jednak też jest tutaj tematem. Przeszkadza mi, że aktorzy „Sprawiedliwości” czytają teksty z promptera, i nie rozumiem, czemu „Kilka obcych słów po polsku” musi zostać w drugiej części zaśpiewanych na okropnie „aktorski” sposób – jednak nie chwytły i reżyserskie pomysły są tu ważne, ale całościowe sposoby rozwinięcia i przedstawienia tematu, teatralne nie w znaczeniu „środków artystycznych”, ale dynamicznych figur myśli.

Strona Edypa

Punktem wyjścia dla „Sprawiedliwości” jest sprawdzenie, czy można przypisać konkretnym osobom prawną odpowiedzialność za wypędzenie Żydów z Polski w latach 1968-71 i w konsekwencji złożyć do prokuratury zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Dla realizacji tego zadania konieczne było przeprowadzenie dochodzenia przez zespoły historyków i prawników. Syntezę ich prawie dwuletnich badań odgrywiają aktorzy w niepełna 90-minutowym przedstawieniu: od statystycznego wręcz ukazania skali zbrodni, przez jej zdefiniowanie w języku prawnym i określenie grup spraw-

ców, po próby wykazania winy konkretnych osób.

I tu śledztwo zaczyna utykać: większość podejrzanych nie żyje, a gdy odnalezione zostają trzy konkretne osoby, które pisały teksty propagujące nienawiść na tle rasowym, to nie można im postawić zarzutów, bo przestępstwa, o które można by je oskarżyć, dawno uległy przedawnieniu. Sfrustrowani aktorzy rzucają o ścianę teczkami z dokumentami i szykują się do wyjścia, ale wtedy – jak w hollywoodzkim filmie o dziennikarzach śledczych – następuje zwrot akcji. Dzwoni telefon i głos prawnika wyjaśnia, że zbrodnia przeciwko ludzkości, która w świetle polskiego prawa nie ulega przedawnieniu, nie musi zakładać unicestwienia danej

grupy. Śledztwo nabiera nowego tempa. Barbara Wysocka tłumaczy sobie i nam, dlaczego wygnanie Polaków pochodzenia żydowskiego może być uznane za taką zbrodnię, co sprawia, że każdy obywatel ma obowiązek skierować zawiadomienie do prokuratury. „Państwo też – mówi patrząc na nas Ewa Skibińska – bo teraz już też wszystko wiecie”.

Ale kto konkretnie popełnił przestępstwo? Z długiej listy zostały trzy nazwiska dziennikarzy, piszących 50 lat temu nienawistne teksty. A właściwie dwa, bo pierwszy z tekstów, informujący o żydowskim bojkocie polskiego bekonu w Wielkiej Brytanii, brzmi tak absurdalnie, że tylko osłabiłby wymowę oskarżenia. Autor drugiego, wyjątkowo ohydny, Karol Badziak, jest dziś niewidomym starcem, który ponoć utracił pamięć, więc na wymierzenie sprawiedliwości jest już za późno (w logice spektaklu argument to słaby). Zostaje osoba trzecia i na niej właściwie skupiają się kluczowe sceny.

Autorka antysemickiego artykułu w łódzkiej prasie to Iwona Śledzińska-Katarasińska, dziś posłanka opozycyjnej partii. Jako jedyna ze wspomnianej trójki nie wyparła się napisanego w młodości artykułu, przyznaje, że był głupi i że do dzisiaj stanowi dla niej ciężar. I to właśnie ona pozostała jako jedyna potencjalna

„Sprawiedliwość”, Teatr Powszechny w Warszawie, 9 marca 2018 r.



KRZYSZTOF BIELIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU POWSZECHNEGO



„Kilka obcych słów po polsku”, Teatr Żydowski i Teatr Polski, Warszawa, 7 marca 2018 r.

sprawczyni zbrodni. Twórcy spektaklu sami chyba słyszą rozlegający się w tym momencie chichot historii i rechot tych, którzy dziś z pełnym przekonaniem uruchamiają mechanizmy znane z 1968 r., a wobec których w opozycji jest posłanka. Mimo wątpliwości aktorzy są jednak przekonani, że zawiadomienie złożyć trzeba, bo tylko sąd ostatecznie uwolni posłankę od brzemienia win, a kozioł ofiarny jest potrzebny, by oczyścić zbiorowość.

W spektaklu powraca motyw Edypa. „To jak w »Edypie«” – powtarzają aktorzy, mówiąc, że Tebańczycy i Polacy tak samo nie chcą osądzić winnych zbrodni. A winnego trzeba osądzić i ukarać, nawet jeśli ma to być bolesne przede wszystkim dla nas samych. Słucham tych wywodów ze zdumieniem. Rozglądam się po sali i nigdzie nie widzę Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej, która podejmowałaby śledz-

two we własnej sprawie, siebie uznawała za winną i sobie wymierzała karę. Widzę młodych, przekonanych o swojej racji moralnej ludzi, którzy posługują się dokładnie tą samą logiką, jak autorzy projektów dezubekizacyjnych, dekomunizacyjnych itp. Jedni i drudzy zdają się wierzyć w moc prawa, jego język i sprawczość, choć nie ma dnia, by nie były one z wielu względów praktycznie negowane. Spektakl nazywa się „Sprawiedliwość”, ale powinien nazywać się inaczej. Tak, dokładnie tak: „Prawo i Sprawiedliwość”.

„Edyp król” to nie polityczna przypowieść z tezą, ale tragedia. Jej logika, pełna okrutnej ironii, stawia na ostrzu noża właśnie to, co tak wysoko podnoszą twórcy spektaklu: ludzkie poczucie sprawiedliwości. Dążący do oczyszczającej prawdy Edyp odkrył własną zbrodnię i sam wymierzył sobie karę, spełniając w ten spo-

sób klątwę bogów i pogrążając Teby w chaosie, którego ofiarami padły także jego dzieci. Zadara o tym wie. Przypomina konsekwencje Edypowego czynu i zdaje się mówić: trudno, sprawiedliwość jest najważniejsza. Bez niej pozostaniemy w niewypowiedzianym cieniu dawnej zbrodni.

Twórcy spektaklu nie czują się w żaden sposób winni. Nie chcą też, by zbiorowość czuła się winna, bo winą zbiorową to winą niczyją. Lepiej niech jeden zginie, niżby wszyscy mieli mieć nieczyste sumienia. To oczywiście mechanizm kozła ofiarnego, który jest – o czym analizując m.in. „Edypa króla” pisał przenikliwie René Girard – mechanizmem ukrywania założycielskiej zbrodni zbiorowej. Jego ofiarami często padali właśnie Żydzi. Zadara proponuje, by mechanizm pozostał ten sam, tylko zmienimy ofiarę. Władysław Gomułka zaciera ręce. Premierowa publiczność klaszcze. Aktorzy i reżyser kłaniają się z uśmiechem.

Kto wykluwa sobie oczy?

Strona Ismeny

Zapowiadając przedstawienie Anny Smolar przypominano, że jest ona dzieckiem marcowych emigrantów. Jej spektakl o doświadczeniach rodziców miał więc być już w punkcie wyjścia rezultatem działania tego, co Marianne Hirsch nazwała postpamięcią. Chodzi o specjalny typ pamięci wydarzeń, których samemu się nie przeżyło, ale które są częścią osobistego doświadczenia, ponieważ tak wiele wiemy o nich od świadków bezpośrednich.

W „Kilku obcych słowach po polsku” sytuacja drugiego pokolenia, przeżywającego traumatyczne doświadczenia rodziców, jest zainscenizowana dosłownie – aktorzy teatrów Żydowskiego i Polskiego na naszych oczach wcielają się w dzieci Polaków wygnanych po Marcu '68 z racji pochodzenia. Dzieci te odgrywają sceny z życia rodziców, mówią ich wyobrażonymi słowami. Posługują się przy tym teatralnym cudzysłowem, którego swoistym uosobieniem jest Ariel, grany i tańczony przez Pawła Sakowicza.

Można odnieść wrażenie, że Anna Smolar chciała teatrowi postpamięci dać przewrotną, ironiczną, ale podszytą rozpaczą „lekkość”, znaną z innych jej przedstawień (np. z bydgoskiego „Dybuka”). Stąd być może sceny taneczne, stąd też – dla mnie problematyczne – sceny śpiewane (choć *song* o przodku, który wybrał asymilację, →

→ w wykonaniu Sakowicza rzeczywiście porażający). Drapieżna autoironia, którą ci sami „aktorzy żydowscy” posługiwali się mistrzowsko w tak właśnie zatytułowanym przedstawieniu wyreżyserowanym przez Smolar, tu jednak nie działa.

Już w początkowym monologu Jerzego Walczaka o 50. urodzinach, które dziś wszyscy obchodzimy, brzmią tony nazbyt deklaratywnego serio. Jakby twórcy byli sparaliżowani powagą i dramatyzmem spraw, o których będą mówić. W efekcie przedstawienie stopniowo staje się serią kolejnych emocjonalnych i tematycznych kumulacji na wciąż i wciąż powtarzający się temat poplątanej tożsamości osobistej, którą – jak u Ervinga Goffmana – nadają inni, choć przeżywa się ją samemu. I dzieci, i rodzice szarpią się w walce o uznanie ich przez innych za takich, jakimi sami siebie odczuwają, ale inni (czytaj: Polacy) konsekwentnie tego odmawiają, wpędzając ich w Żydów, tylko po to, by ich jako Żydów wypędzić.

Z pułapki splątanej tożsamości nie ma wyjścia. Rodzi się we mnie myśl, że uparte dążenie do tego, by się jakoś określić wspólnotowo, rodzaj fiksacji na etnicznej tożsamości, to coś okropnie niezdrowego, a zarazem typowego dla mieszkańców „tego kraju”. Zastanawiam się też, czy sprowadzanie pamięci pomarcowego

wygnania Żydów z Polski do osobistych traum nie jest rodzajem oczekiwanej spolegliwości, której na zakończenie zgromadzeni będą mogli przyklasnąć w poczuciu etycznego uspokojenia.

Pamiętacie Ismenę, córkę Edypa, siostrę Antygony? Ona tak właśnie chciała: żeby się dogadać, ułożyć. Była gotowa zaakceptować los. Przyjmowała winę ojca jako swoją i łagodnymi oczyma spoglądała z przerażeniem na hardą siostrę. To jej głos zdawałem się słyszeć w finałowym monologu „Kilku słów...”, adresowanym do „Kochanej Polski”, którą prosi się grzecznie (choć z gniewem), by została poligamistką i kochała także swoje, niekoniecznie polsko-polskie dzieci. Skrzywdzona Ismena prosi Kreona, by i ją przyjął. Kreon uśmiecha się, bije brawo. Nawet wstanie...

Nieprzebaczeni

Oba przedstawienia łączy też to, że omijają winę polsko-polskich Polaków, która jest i pozostaje naszą wspólną, właśnie dlatego, że się z nią nie mierzymy, projektując ją na komunistów, na kozła ofiarnego albo przekształcając w łatwe współczucie dla ofiar. A przecież zwolnione przez wygnanych posady ktoś obsadzał, ktoś robił kariery dzięki – jak niedawno przeczytałem – „pomarcowemu odblokowaniu ścieżek awansu”. Ktoś zajmował opuszczane

mieszkania, ktoś ma kupione za bezcen od wyjeżdżających antyki.

Ten wątek pojawia się w obu przedstawieniach niemal na marginesie. A ja chciałbym, żeby powstał spektakl o takim mieszkaniu i zajmujących je do dziś ludziach. O marcowych docentach. O księdzu, wspomnianym u Zadary, którego spadkobiercy pokazują kupiony za bezcen obraz. I żeby nie było to przedstawienie o jakichś onych, ale o nas. Żebyśmy mogli wreszcie sami odkryć nasze winy i przyznać się do nich, drodzy Edypowie. A jeśli wyklujemy sobie potem oczy, to niech nas zaprowadzą do Kolonos.

Nie wierzę w sąd. Nie wierzę w prawo i sprawiedliwość. I nie cenię aż tak wysoko pamięci, by pod jej przymusem powracać wciąż i wciąż do tragedii rodziców. Jeśli w coś wierzę i czegoś pragnę, to tego, czego tak bardzo w tym podobno chrześcijańskim kraju nie ma: przebaczenia.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

SPRAWIEDLIWOŚĆ – reż. Michał Zadara, scenariusz Michał Zadara i Nawojka Gurczyńska, Teatr Powszechny, Warszawa, premiera 7 marca 2018 r.

KILKA OBCYCH SŁÓW PO POLSKU – reż. Anna Smolar, tekst i dramaturgia Michał Buszewicz, Teatr Żydowski i Teatr Polski, Warszawa, premiera 10 marca 2018 r.